

W PALMOWĄ NIEDZIELĘ. A. Setkowicz.

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

NR. 7. MARZEC 1932. ROK VIII.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VIII. KRAKÓW, MARZEC 1932. NR. 7.



Baranku... Któryś zabit za nas —
Tobie Cześć i Chwała —
Któryś jest pośrodku nas,
Tobie dziękowanie i pokłon —
Który prowadzisz do źródeł żywota,
Tobie błogosławieństwo i moc —
Który ocierasz wszelką łzę,
Tobie poznanie i służba —
Któryś nas wybielił we Krwi Swej,
Tobie miłość!
Albowiem przyszło wesele Twoje
Baranku Boży — a na
wieczerzę wesela Twego
wezwani jesteśmy
Alleluja!

J. A. GAŁUSZKA

PRZEDWIOŚNIE

Nad sercem przelatuje pierwszy wiosny dreszcz —
piórkowe gałązki drzew nikłym spłonęły rumieńcem
przewiał w radosnym szumie srebrny wiosny deszcz:
jeszcze skrzy się i skrzy na witkach i pręciach.

Gdzieś w podświadomych głębiach, w iłach praczłowieczych
czuje się nikłe tętna pulsujących źródeł:
to ziemia mówi w tobie tajemnicą wieczną,
gra w twojej krwi radosnym zmartwychwstania cudem.

Jeszcze chwila a serce zakwitnie szkarłatem.
Grzmią dzwony, huczą jak burza śpiżowa:
To Chrystus zmartwychwstały nad umarłym światem
powiewa jak płomieniem chorągwią purpurową.

Jeszcze chwila! — zakwitniesz jak jabłoń i grusze,
nieświadom tajemnicy odrodzeń wieczystych —
zdumiejesz się nad cudem zbudzonej z dum duszy:
zmartwychwstaniesz w miłości i słońcu — jak Chrystus!

(Ze zbioru: „Cienie orłów“).

Alleluja!

MARJA PELCZAROWA

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

Ale za mną przyjdzie moc,
poczęta z moich słów,
moc, co pokruszy pęta,
co państwo wskrzesi znów!
(St. Wyspiański, Daniel w. 599—602).

Nie dożył Wyspiański tej chwili — kiedy spełniło się Danielowe proroctwo o wskrzeszeniu państwa. Już od lat dziesięciu przeszło spoczywał w sarkofagu grobowym w krypcie kościoła OO. Paulinów na Skałce, gdy z pobliskiej, tak ukochanej przezeń katedry Wawelskiej zadzwonił Zygmunt w wolnej, niepodległej Polsce. Nie słyszał już Wyspiański tego dźwięku pełnego radości, nie doczekał spełnienia swej modlitwy — hymn prośby do Boga o żywą Polskę, którą zaklął w „Wyzwoleniu“ w ustach Konrada. Lecz wierzył i wiedział, że duch wstąpi w niemocne i pobudzi śpiący naród.

* * *

Twórczość Wyspiańskiego, jak pół wieku przedtem Edmunda Wasilewskiego, wyszła z serca Krakowa z Wawelu. Katedra Wawelska, ten skarbiec narodowych pamiątek, jedyne miejsce gdzie duch Polski przebywał, choć w kajdany niewoli zakuty — stała się ośrodkiem i tłem twórczości wszechstronnej Wyspiańskiego. Ukochał on Kraków serdeczną miłością, tu bowiem urodził się 15 stycznia 1869 roku, tu wzrastał w atmosferze kultury polskiej, pełnej tradycji i piękna dawnych wieków.

Poeta świadomy był wpływu, jakie wywarły nań wrażenia dzieciństwa. „U stóp Wawelu miał ojciec pracownię, — wielką izbę białą, wysklepioną, — żyjącą figur zmarłych wielkim tłumem; tam chłopiec mały chodziłem. Co czułem, — to później w kształty mej sztuki zakułem. — Uczuciem wtedy tylko, nie rozumem, — obejmowałem zarys, gliną ulepioną, wyrastający przede mną w olbrzymy, — w drzewie lipowem rzezane posągi...“ Z okien tej pracowni ojcowskiej patrzał Wyspiański na Wawel, a w jego tęsknej, wrażliwej duszy, pełnej głębokiego odczucia piękna, budziły się pomysły, które kiedyś miał zrealizować jako artysta, malarz i poeta. Już wtedy uzupełniał wrażenia swe studjowaniem nieznanego nam bliżej „Opisu Katedry“.

Wszechstronny talent Wyspiańskiego w dwu głównie zamknął się kierunkach, tworząc arcydzieła malarstwa i poezji. Jako jeden z najzdolniejszych uczniów Matejki, wykonuje projekt swego mistrza polichromji kościoła Najświętszej Marji Panny w Krakowie. Po studjach zagranicznych talent malarski Wyspiańskiego dojrzewa, osiągając szczyt swój we wspaniałych witrażach. Kto wpatrzy się w witraże kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie, kto odczuje piękno i ogrom wszechmocy jaką rzuca genjalna koncepcja artysty „Bóg Ojciec“, kto przejmie się uczuciem grozy jakie budzi, zachowany tylko w kartonie w Muzeum Narodowem w Krakowie, projekt witrażu „Kazimierz Wielki“ — ten zrozumie, jak wielką była siła ekspanzji twórczej artysty. Lecz forma malarstwa nie wystarczała na wypowiedzenie całego „ja“ pełnej głębi duszy, — nie mogły jej zastąpić liczne inne dziedziny sztuki: muzyka, rzeźbiarstwo, sztuka drukarska, czy przemysł artystyczny. Zaspokoić ducha artysty mogła jedynie poezja — żywy dźwięk mowy, połączony z malarstwem opisu, z muzykalnym rytmem, głębią myśli i ujęcia. Na tę drogę wkroczył Wyspiański i nie wyrzekając się zresztą w zupełności malarstwa, przeszedł do poezji.

Z malarstwa jako jego uzupełnienie, powstały pierwsze utwory Wyspiańskiego — rapsod „Kazimierz Wielki“ i scena dramatyczna, przepiękna w barwności opisu „Królowa Polskiej Korony“. Lecz z chwilą, gdy talent Wyspiańskiego zwrócił się zdecydowanie w innym kierunku, tracą następne utwory bezpośredni związek ze sztuką stosowaną, — przechodząc w całości na służbę narodu, dążąc do jego wyzwolin.

Powstanie listopadowe dłuższy czas zajmowało umysł Wyspiańskiego. Rozmyślał on, dlaczego naród, mając tyle możliwości zwycięstwa, trwa ciągle w niewoli, dlaczego tyle bohaterskich wysiłków poszło na marne? Odpowiedź na dręczące pytania zamknął poeta w „Warszawiance“. Pieśń to a raczej dramat, gdyż dramatem są słowa pieśni. „Oto dziś dzień krwi i chwały... dziś twój triumf, albo zgon“. Tragizm mieści się w złowróżbnem przeczuciu ostatniego słowa. Dla walczących nie powinno być wyboru, lecz oni myślą o zgonie. Hymn chwały grany jest idącym na śmierć i zatracenie. Obok romantyzmu Marji staje Chłopicki ze słowami tragedji — pokolenia niezdolnego do czynu. Ten splot mieści w sobie duchowy stosunek dwu pokoleń „tragizm romantycznego czynu i tragizm romantycznej niezdolności do czynu, która włada rzeczywistością“. Ta nić wiąże „Warszawiankę“ z dalszemi utworami „Lelewelem“ i „Legjonem“. Wyspiański, wykazując w tych trzech utworach beznadziejność wierzeń i dążeń polskiego romantyzmu, przeszedł do walki z nim i z jego zgubnym na współczesność wpływem. Rewizję współczesności przynosi „Wesele“. Z motywu przypadkowej uroczystości zaślubin powstaje dramat narodowy, dramat chęci poczynań i wierzeń — bez możności realizacji czynu. Obchody patrjotyczne, banderje Krakusów, narodowy piękny strój stał się bezduszną formą, usypiał mamidłem pozoru — miast krzepić dusze tęsknotą za czynem. Gospodarz — szlachcic szumnie i głośno prawi o Polsce i złotym rogu, lecz podchmielony i upojony marzeniem zasypia — parobczak zaś Jasiek, szukając pawiego pióra, gubi złoty róg — symbol jedności w pracy wszystkich stanów, w których ofiarny wysiłek przynieść ma Polsce — wyzwolenie. W takt cichej, skocznej muzyki Chochoła obraca się w zaklętem kole bezruchu cała gromada, pany i chłopy. Ukazując się w codziennej postaci w akcie pierwszym z całą swą swobodą i kłamliwością powszedniego życia, przechodzą osoby dramatu narodowego tragedję swej duszy, sumienia i marzeń, by po tej krótkiej, duchowej wspólnocie aktu drugiego popaść w katastrofę aktu trzeciego — katastrofę, skutkiem niezdolności do czynu. Błędne koło — to tragizm „Wesela“. Naród bowiem zawiera sam w sobie siłę, zdolną do uzyskania wyzwolin, naród jest jednak równocześnie sam w sobie przeszkodą do czynu, snem, majakiem i niemocą staje się to wszystko, co trwa w nim jeszcze żywe, konkretne i rzeczywiste, za marę przeszłości uchodzi rzeczywista potęga, za widzenie snu moc, zawarta w narodzie. Wyspiański targnął duszą narodu, obudził ją. Czekano na dalszy odzew jego twórczości i myśli. Daje go Konrad w „Wyzwoleniu“. Konrad posiada pełną świadomość, że naród karmi się poezją grobu, a tymczasem on pragnie życia i rzeczywistości. Bo nie na mękę i krzyż dla cudzego zysku istnieje Polska, istnieć ona ma jako państwo dla siebie. Ofiara jest drogą ku wyzwoleniu życia rzeczywistego, a nie celem w samej sobie. Myśl przewodnia „Wyzwolenia“ to — przeciwstawienie poezji grobu — twórczej poezji życia, której celem jest realizacja niepodległości narodu. To zmartwychwstanie Polski ujrzał poeta w swej wieszczej duszy tworząc „Akropolis“. Ujrzał je na Wawelu w noc Zmartwychwstania Pańskiego. Wśród stopni poszczególnych, wstających z grobu symboli, — ostatni podnosi się harfiarz,

który zwiastuje nową świątynię dla nowego Boga. Rozpala się słońce, w gruz padają świętości grobów, a w blasku triumfu Zmartwychwstania, który ogarnia cały żywioł, ukazuje się zbawca — Chrystus.

Tak przeprowadził umysł Wyspiańskiego koncepcję narodowej tragedji, zaklinając myśl jej w idee przewodnie kilku utworów. Nie znaczy to jednak, by brak było myśli patrjotycznej w licznych, a tak pięknych dramatach przeszłości narodowej „Legendzie“, „Skałce“, Bolesławie Śmiałym“, nie znaczy to, by nie zawarł jej poeta w pozornie oddalonych od Polski i jej ducha tragedjach antycznych — homeryckich „Achilleis“, „Powrót Odysa“.

Poezja Wyspiańskiego jest wcieleniem Polski, która żyje, chce żyć i ma do tego życia pełne prawo. Poeta wcielił się niejako w ojczyznę, wchłonął w siebie zbiorowy nastrój, wskrzesił wizję przeszłości, tworzył wizję przyszłości. Uczucia swe wypowiedział w „Skałce“.

„Narodu pieśń, narodu śpiew
i myśl i serce tkliwe
i wszystek ból i żal i gniew
w krwi mojej płyną żywe“.

Wyspiański tworząc sztuki sceniczne mógł działać swem genjalnem słowem na naród, dyktować mu swe myśli, budzić refleksje, uczucia, dążenia, — przeżywać z nim i w nim tragedje niewoli, by doprowadzić do czynu konkretnego, politycznego odzyskania utraconego bytu państwowego. O ten byt, czyn i obudzenie modli się Konrad w „Wyzwoleniu“.

„Byś zwiódł z wędrówki długiej
mój naród do Wszechmocy!
Byś dał, co mają inni...
Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą...
Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi;
niechże w nie duch Twój wstąpi
i śpiące niech obudzi...“

Spełniły się marzenia Wyspiańskiego — wiara jego oblekła się w czyn. Duch Boga stąpił na naród, obudził go do życia, dał żywą Polskę. Poezja Wyspiańskiego niech i nadal stoi na straży narodowego ducha, by snać upojony triumfem nie obniżył swego, twórczego lotu.

GUSTAW MORCINEK

K R Y S I A

(Ciąg dalszy)

— Słusznie! — poparł go proboszcz. — Kryśka nie chce do was wracać. Widocznie ma powód. Ja też jestem za tem. Zresztą i tak nie można jej teraz przenosić, kiedy sami widzicie, że dzieweczka ledwie, że tak zipi... Zostanie u naszego Kożusznika, a co potem będzie, zobaczymy...

— Tak!.. — zaperzyła się rozzłoszczona Moroniowa. — A kto ją wziął do siebie, kiedy ją matka, Boże jej tam dej radość wiekuistą, amen, odumarła? Pytom się, kto?... A kto się o nią troszczył, jak o rodzone dziecko?... A kto się musiał z nią gniewać i ostudzać, jak nie jo!... A teraz prawicie, że nie wróci do mnie?... A toby był piękny porządek!... Na policję zajdę i zbyte!...

— No, no, no!... Tylko tu nie straszcie ludzi policją!... — oburzył się teraz Kożusznik. — Bo pytanie, kto się będzie bardziej lękał policji. Ja czy wy!... Tu jeszcze nie jest zała-

twiona sprawa z temi pieniądzmi, które otrzymaliście od matki Kryś-czynej...

— Pójdź stary!... Pójdź!... — wymełła wściekła Moroniowa. Porwała milczącego męża za rękę i pociągnęła do drzwi. — A kto mi teraz bydzie gęsi pasał przez lato?... — uderzyła w płaczliwy ton. — Ty stary trąbo!... Ty bydziesz je paść!... Bo stoisz, jak wielbłąd i ani gęby nie odewrzesz, gdy się tu człowiekowi robi krzywda!... Ale poczekaj!... — i trąciła mocno pięścią w plecy Moronia.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy się drzwi za nimi zatrzasnęły.

Z poza okna dochodziło jeszcze gniewliwe gderanie gaździnki, pomstującej na męża.

— On nie jest taki zły, tylko ona... — zauważył Kożusznik.

— Nie podoba mi się to wszystko — rzekł proboszcz, jakby do własnych myśli. — Będę musiał się tem bliżej zainteresować. A z temi pieniądzmi — zwrócił się teraz do Kożusznika — to tak nie można mówić. Niema świadka, który poświadczył, że otrzymali jakie pieniądze od nieboszczki matki. Podejrzenie jest, ale któż im to udowodni. Moroń powiedziałby, lecz cóż kiedy lęka się żony... No, zobaczymy jeszcze...

— Pieknie proszę, księżoszku, ale Kryśkę możemy zatrzymać już na zawsze? — zapytała nieśmiało Haniczka.

— Owszem, postaram się... Jeżeli, Kożuszniku, zamierzacie ją przygarnąć do siebie, to postaram się, żeby Moroniowie nie robili żadnych trudności...

— Ale dyć bardzo chętnie, księżoszku!... Bardzo chętnie!... Jest nas czworo w domu, to dla piątego znajdzie się kąsek chleba... No nie, staro?...

— Ależ pewnie, księżoszku, pewnie — przyświadczyła skwapliwie Kożusznikowa. — Mój Boże, dyć jestem temu rada, jakby to moje własne dziecko było!...

Kryśka patrzyła swemi modremi oczkami na wszystkich i jakby swoim uszom nie wierzyła. Mruczek zaś, uradowany, że tamci ludzie poszli, co mu jeden z nich groził wyciągniętemi paluchami, zwinął się w kłębek obok Kryśki i znów zadowolony mruczał.

— No, ja też myślę, moi mili — rzekł po chwili proboszcz — że Kryśka będzie się miała u was, u jak Pana Boga za piecem!... Że jej nie skrzywdzicie!... A Pan Bóg znów wam to inną stroną wynagrodzi...

Pogłaskał Kryśkę po twarzy, umiechnął się do Mruczka, co miekką łapką pacnął jego starą dłoń, powiedział:

— Bądźcie z Bogiem! — i poszedł.

Słonko w tej chwili wschodziło, blade jeszcze, lecz już niosące w zanadrzu radość złoconego dnia, przekroczyło okienny próg i spoczęło na zmizerowanej twarzyczce Krysi.

Kryśka uśmiechnęła się cicho.

Kryśka została więc u Kożuszników.

Moroniowie jeszcze kilka razy próbowali skłonić Kożusznika i Kryśkę, żeby stało się po ich woli, lecz próżne były ich starania. Kożusznik zżymał się, zgarniał krzaczaste brwi w ciemną bruzdę nad oczyma, patrzał z podełba na pękatą Moroniową, co się bez przerwy zaklinała, iż się jej wielka krzywda dzieje, gdyż wiosna już dawno w polu, a niema jej kto krów paść na wydmuchowisku.

— Niech wasza Gretka pasie!... — rzucił jej twardo.

Potem przychodził Moroń. Wiedział, że nic nie wskóra lecz czynił to, bo słuchał żony. Musiał jej słuchać.

— Pamiętaj, ty niezdaro! — pokrzykiwała mu nad łysą głową. — Jeżeli mi Kryśki nie przyprowadzisz do domu, to ci fajkę do pieca wciepnę i tela bydziesz mioł, fideuszu zatracony!...

Człapał się więc zafrasowany Moroń do Kożusznika, wchodził do drzwi we dwoje zgięty, proszący, pokorny.

— Kożuszniczku roztomiły!... Oddejcie nom Krysię?...

— Ani mi się śni!... Żebyście ją znowu trapili!... Sierotkę biedną!...

— Oddejcie, bo fajki nie dostanę!...

— Jakiej fajki?

— Baba mi schowała fajkę i powiedziała, że mi ją do pieca wciepnie, jak Krysi nie przyprowadzę!...

— To już po waszej fajce!... Musicie se kupić nową!... Bo nic z tego nie bydzie!...

I na tem się kończyła rozmowa.

Moroniowa usiłowała przez jakiś czas kusić ją i namawiać do powrotu. Kryśka pasła chudą, brodatą kozę na łęgu i śpiewała w słonku niefrasobliwie. Koło niej chadzał ostrożnie Mruczek, wylegiwał się na piasku, tarzał lub czatował na przelatujące wróble. A kiedy mu się sprzykrzyło niewdzięczne polowanie, właził Kryśce na nogi, zwijał się w puszyscy kłębek i mruczał z uradowania. Chuda koza Kryśczyna, przezwana przez nią Strzygą, szczypała trawę opodal, kiwała raz poraz głową, patrzyła podłużnemi, zielonemi szparkami oczu na dziewczynę, czasem bekła, krótkim ogonkiem trzepła i znowu pracowicie skubała trawę. Po niebie zaś, po głębokim błękicie wędrowało słonko boże i radowało się Kryśce.

Przyszła Moroniowa, na usta przylepiła słodzony uśmieszek, stanęła obok dziewczyny i jęła namawiać. A każde słowo przegradzała słodyczą.

— Nie pójdę!... — odpowiadała stale Kryśka, a kiedy Moroniowa nalegała i po twarzy zamierzała ją głaskać, uciekała ku domowi. Za nią biegła becząca koza, a za kozą sadził nastroszony Mruczek.

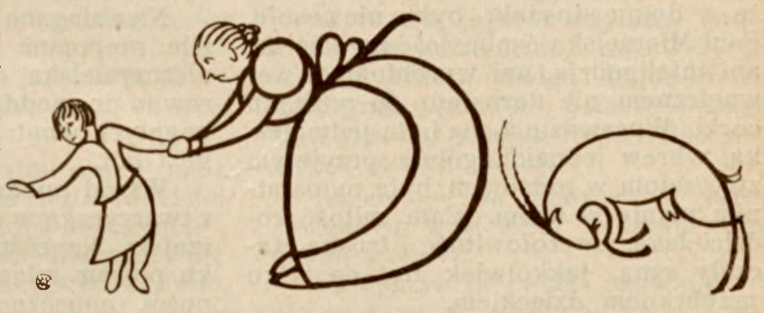
Kryśka powiedziała to w domu.

— A toć stomiljońsko baba! — oburzył się Kożusznik. — Teraz to cedzi temi lukrowanemi słówkami i namawia dziewczynę, żeby wróciła. Mówi, że nie może żyć bez ciebie!... Hy, cygon przemierzły. A jej tylko chodzi o to, że nie chce nająć sobie pasterki, boby jej musiała płacić, więc Kryśkę pragnie otumanić i do domu ściągnąć, żeby jej krowy pasała. A bo kiedyś pójdę, a zwymyślam ją, co wlezie!...

Nie poszedł, bo uczyniła to koza.

Kryśka znowu siedziała na łące, kijaszkiem śmigała w powietrzu, a jej się zdawało, że po błękicie wodzi jego końcem. Opodal Strzyga się pasła. Mruczek zaś uganiał się za wrzeszczącemi wróblami.

Przyszła Moroniowa i znowu zaczęła swoje. Uśmiechała się, słowa cedziła słodkością, przymilała się, cmokała, a kiedy Kryśka raz i drugi rzekła, że naprawdę, ale to naprawdę nie pójdzie, Moroniowa ujęła ją za rękę i jęła ciągnąć. Krysia w płacz. Strzyga



posłyszała niezwykły dla niej lament dziewczyny, podniosła głowę z głębokiej trawy, spojrzała wąskiemi, zielonemi ślepiami, a ujrzawszy szamocącą się babę z jej Krysią, bekła groźnie, trzepnęła strzępiastym ogonkiem, schyliła głowę i rzuciła się w kierunku baby. Rozpędziła się mocno, a potem jak nie zmierzyła zakrzywionemi rożyskami w rozchybotaną, kraciastą suknię obcej stwory, jak nie uderzy wyuczonym ruchem!... Boże! co się potem działo!... Moroniowa wrzasła przerażona okropnym głosem, zachwiała się i runęła na ziemię. A Strzyga, uradowana zwycięstwem, jęła teraz trykać ją zawzięcie i bóść, pobekując walecznie a groźnie. Zerwała się Mo-

roniowa z trawy i pognała naprzełaj ku domowi, a podskakująca koza sadziła za nią jak jeleń, trykała głową i pędziła przed sobą.

— Strzyga!... Strzyga!... — jęła wołać przestraszona Krysia na kozę.

Strzyga stanęła, obejrzała się, bekła i zawróciła truchciktem do dziewczyny.

Odtąd już miała Krysia spokój. A stary Kożusznik, który to wszystko widział od domu, zwabiony narzekaniem dziewczyny, zacierała dłonie i mruczał.

— No, teraz już da spokój dziewczynie!... Widać, że koza — to mądre stworzenie. No, teraz już Krysia bydzie miała spokój!... Widzis ty, warzecho!... *(C. d. n.)*

IGNIS

UŚMIECH ŻYCIA

Nie dziwię się wcale Zocho, że tak mocno odczuwasz nasze przyszłe osamotnienie. To będzie prawdziwe sieroctwo! — Umilkła. Dla niej rozstanie z panią Lemańską było wprost tragedją. Kochała ją jak matkę, zwłaszcza, że w domu stosunki były niewesołe. Pani Mierzejska osoba dość przeciętna, ani inteligencją, ani wyrobieniem wewnętrznem nie dorastała do poziomu córki. Wprawdzie Lena była jedynaczką, wbrew jednak ogólnie przyjętym zwyczajom w rodzinach, była na ostatnim planie w domu. Cała miłość rodzicielska, pieczołowitość i troska otaczały syna, jakkolwiek był on tylko przybranem dzieckiem.

To była karta historji dzieciństwa Leny łzami pisana.

Państwo Mierzejscy mieli tylko jednego syna. Mały Romek stał się odrazu bożyszczem rodziców, zwłaszcza, że dziecko było obdarzone niepospolicie. I rosło na pociechę ich domu, wesołe i swawolne jak ptaszę, swym radosnym szczebiotem, napełniając dom rodzinny, w którym było mu dobrze i ciepło, jak w gniazdku.

Nagle — grom z jasnego nieba! Epidemja w mieście! Szkarlatyna!

Jak źrenicy oka strzegli rodzice dziecka, zastosowując wszelkie środki zapobiegawcze; ostrożność była posunięta aż do przesady. Ale nic nie pomogło...

Mały Romuś, leżał w białem łóżeczku, skarżąc się cichutko.

Szkarlatyna szerzyła się z jakąś wściekłą zaciętością, chociaż szedł za nią przeciągły jęk i lament osieroconych rodzin.

Nieubłagana w swej śmiercionośnej sile, niepomna na łzy, niesyta mogił, niszczycielska choroba zaglądała zarówno do poddaszy i suteren jak i do bogatych wnętrz, wszędzie siejąc trwogę i ból...

Wśród puchów, koronek i batystów z twarzyczką w ogniu leżał Romuś Mierzejski. Napróżno wiedza lekarska kilku powag miasta wytężała swe zdolności, napróżno półprzytomna matka szamocąc się w bezsilnej walce z nieubłaganą chorobą, przechodziła od rozpaczliwego buntu do kornej, we łzach tonącej modlitwy, nie wstydził się i ojciec łez niemęskich, nic nie pomogło!

Przyszła śmierć butna, nieznosząca oporu.

Noc ciemności zapadła nad umysłem nieszczęsnej matki... Kilka tygodni walczyła ze śmiercią, zrywała się po nocach, najczulszemi wyrazami przywołując dziecię, później nadeszły smutne miesiące cichej melancholji, bezbrzeżnej tęsknoty za utraconem szczęściem...

Wesoły, tętniący życiem dom, zamienił się jakby w mogiłę. Ludzie zaczęli nawet stronić, bo odstraszało

wszystkich blade widmo śmierci, co się po kątach niemal czaiło, a wyglądało z rozpacznie smutnych oczu matki, osieroconej.

Dopiero wówczas pełną piersią i z radością odetchnął podwójnie zbolały ojciec, gdy usłyszał kwilenie nowej budzącej się do życia istotki.

Tym razem była to dziewczynka!

Niestety, nie powitał jej uśmiech macierzyńskiej miłości i ojcowskiej dumy.

Na progu życia nie uśmiechnęło się doń słońce.

Przyszła na świat w chmurny listopadowy poranek, przynosząc ze sobą jakby piętno, gorzkie rozczarowanie rodziców; Matki — że to nie syn, ojca, że przyjściem swem, wbrew skrytej nadziei, dziecina nie wróciła radości matce, uginającej się pod ciężarem nieszczęścia.

Powoli równowaga wracała, matka robiła nawet wysiłki, by otoczyć dzieciństwo Lenki tem, co potrzebne dziecku, ale było to sztuczne, bo nie z serca płynęło.

Dziecko żyło w atmosferze anormalnej, brakowało mu ciepła rodzicielskiej miłości, pieszczoty matczynej.

Aż zdarzył się wypadek, który pięcioletnią wówczas Lenkę wyrwał z martwoty i rzucił promień na jej smutne dzieciństwo.

Staruszek proboszcz, który dawał ślub państwu Mierzejskim, przyjechał pewnego dnia, z zapadłej prowincji, przywożąc ze sobą dziesięcioletniego chłopca.

Rodzice Lenki z radością powitali dawno niewidzianego przyjaciela domu, zabierając go do salonu, dziewczynce pozostał na pociechę gość, z którym absolutnie nie wiedziała jak się obchodzić, nieprzyzwyczajona do towarzystwa dzieci. Chłopiec za to o wiele lepiej wywiązał się ze swej roli, zabawiając odrazu Lenkę opowiadaniem ciekawych szczegółów ze swej długiej podróży.

Oboje tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli nawet szelestu otwieranych drzwi, w których na progu stanęli państwo Mierzejscy, w bardzo uroczystym nastroju.

Młoda kobieta miała jeszcze zaczerwione od płaczu oczy, ale poprzez chmurę łez patrzyła w niemym zachwycie na śliczny obrazek, jaki się wprost narzucał oczom z wnętrza sąsiedniego pokoju.

Na tle puszystego zielonego dywanu, którym była przykryta posadzka, na niskim stołeczku, z główką opartą na rączce, siedziała dziewczynka. Złote loki sięgały ziemi. W białej sukience z twarzyczką podniesioną w górę w której paliły się szafirem dwie ogromne rozszerzone zaciekawieniem źrenice — wyglądała jak kwiatek w trawie. Przed nią na krześle siedział chłopiec, opowiadając coś z werwą i zapałem.

Wyrazista jego twarzyczka, śniada z mocnym rumieńcem, szare oczy pod szeroką kruczą brwią i bujną ciemną czupryną, wszystko tchnęło energją, zapowiadającą pełną życia i temperamentu indywidualność.

Razem — siłą kontrastu i nieporównanym wdziękiem tworzyli grupę, godną malarza.

Chłopczyk pierwszy zauważył, że nie są sami w pokoju — wstał i skłoniwszy się zgrabnie, czekał. Twarz dziewczynki przygasła natychmiast i osiadł na niej zwykły wyraz nudy i cichego smutku.

Pani Mierzejska wpatrywała się tymczasem w zarumienioną twarzyczkę chłopca, z jakimś półbolesnym wyrazem i różne uczucia wstrząsały jej nerwową naturą.

Może tej w dziarskiej postaci chłopięcej odnajdywała mimowoli pewne cechy pokrewne tamtemu ukochanemu dziecięciu, które straciła przed laty, a czyj obraz wiernie tkwił w jej pamięci. Wreszcie idąc za podszeptem tajemnych przeczuć, czy wzruszeń podeszła do chłopca i matczynym ruchem

obejmując go za szyję, przyciągnęła do piersi ciemną główkę.

— Zastąpisz nam zmarłą dziecinę, Romku. Nieprawdaż? Twoje imię nosił i w twoim byłby wieku... gdyby żył! dodała cicho, ocierając ukradkiem załzawione oczy.

Nie pamiętasz go, a jednak lgnęliście do siebie, jako malutkie dzieci. Bóg i nam cię zesłał na pociechę! — mówiła drżącym od wzruszenia głosem.

— Dajmy spokój smutnym wspomnieniom, pani dobrodziejko! nie należy ciągle Panu Bogu wypominać. Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego święte będzie pochwalone! wtrącił proboszcz dobrodusznie. Romek jest w całem tego słowa znaczeniu dzielnym chłopcem i jestem przekonany, że wkrótce zdobędzie wasze serca.

No cóż, chłopcze, jakże ci się podoba twoja nowa rodzina? — pytał chłopczynę, badając troskliwie wrażenie tych słów.

Ciężkie przejścia, jakich doznałeś wkrótkiem życiu sprawiły, że rozumiesz swe położenie. — I zwracając się do państwa Mierzejskich ciągnął w formie objaśnienia.

— Romek zna tragiczne wypadki swego wczesnego dzieciństwa i stosunki jakie łączyły jego rodziców z wami. Wiadomość, że musi się rozstać ze starym proboszczem, pierwszym swoim nauczycielem, przyjął spokojnie; jak przystało na mężczyznę, — dodał z wyrazem dumy, chociaż starcze oczy szkliły się wzruszeniem.

I chłopiec walczył ze sobą, aby nie okazać bólu wskutek konieczności rozstania się z ukochanym opiekunem, ale widocznie życie nauczyło go już męstwa, bo pochylił się tylko do ręki staruszka i przywarł do niej długo ustami, szepcąc stłumionym głosem.

— Dzięki ci, Dziaduniu, najlepszy, będę się starał nie zawieść twego zaufania! — i nie mogąc opanować wzruszenia, przytulił ciemną główkę do ramienia staruszka.

W dobre ręce daję cię, chłopcze, a w żyłach twych płynie krew zacnych rodziców, co męczeńsko zginęli, wierzę, że w życiu pójdziesz śladem ich świetlanych postaci!

— Znajdziesz u nas — zabrał głos pan Mierzejewski, prawdziwy dom rodzinny, i ja i moja żona postaramy się zastąpić ci choć w części ukochanych zmarłych, którzy byli i dla nas najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

A oto twoja nowa siostrzyczka. — Lenko! mówił, popychając z lekka chłopca ku dziewczynce, która szeroko otwartemi oczami, przypatrywała się wszystkiemu. Nic z tego nie rozumiała, tylko walczyły w niej dwa sprzeczne uczucia. *C. d. n.*



OKRĘŻNĄ DROGĄ

Tchnienie renesansu objęło słoneczne Włochy. Już Palladio wyczarował cuda architektury w Vicenzy — już Bramante obmyśla najpotężniejszą świątynię świata: bazylikę Apostołów w Rzymie — już Michał Anioł w marzenia chłopięce bierze skry święte, co się rozbarwią tęczą, mocarza na watykańskich ścianach — już się narodził słodki Sanzio, aby dał światu najmilsze Madonny — już pracują Andrea del Sarto i Tycjan — już cicho usnął na wieki Fra Angelico, mnich pokorny, co we Florencji zdobił mury krasztorne modlitwą fresków.

Jest cinquecento.

Genjusz w służbie Bożej... Apostolstwo piękna zaklętego w marmur i farbę... Posłuch wezwaniu Boga... Misja święta.

A jest apostołowanie inne jeszcze — jest inny apel i stawiennictwo i misja...

Ostatnie lata XV wieku — odchodzą ścieżką zamierzoną i nie wrócą...

Wizja.

Gościniec między Desenzano a Salò! Obłe turnie łagodnych gór... Perłowe jaśnienia mgiełek, malachitowa zieleń zboczy; sztywne czarne habity cyprysów. Pachną z oddali migdałowe drzewka i srebrzy się migotliwie i pluszcze rozchybotana fala jeziora.

Cisza...

Może łkają dzwonki sygnaturek na Anioł Pański... Może gulgocze śmiech w dziecięcych gardziołkach... Może się zwołują drewniane kołatki długosierstnych kóz.

Ale te dźwięki wsiąkają w jeziorne rozlewisko i w rozesłany kobierzec traw, a kwiecia.

Cicho jest...

Na białej drodze klęczy dzieweczka: Aniela de Merici. Modli się, choć jarkie słonko całą więzią promieni spada na jej ramiona.

I oto wizja...

Smuga świetlista przyćmiewa słońce... Widzi drabinę, jak ongiś widział Jakób w śnie swoim, gdy strudzony usnął na polu w Betel.

Drabiny koniec jeden o ziemię wsparty — a drugi w chmurach tonie. Idą po stopniach nieprzeliczone zastępy dziewic i aniołów...

Przypomina się, jak to mówi Św. Jan, że zoczył „Anioła mocnego, zstępującego z nieba w obłok obleczonego, a na głowie jego tęcza, a oblicze jego było jako słońce, a nogi jego jako słupy ogniowe... i postawił nogę swoją prawą na morzu, a lewą na ziemi. (Apok. X. 12).

Co znaczy wizja Ucznia, Którego Pan miłował? Św. Tomasz z Akwinu, wielki wykładacz Pisma św., Doktór Anielski w Kościele katolickim objawia, że Anioł ów mocny symbolizuje podwójną misję chórów uskrzydlonych:

najwyższą kontemplację
i najwyższą aktywność.

W widzeniu Angeli na białym gościńcu, co kluczy kręto koło Desenzano, niezawodnie ten sam symbol podwójnego apostolstwa spływa.

Niebo i ziemia, jak w klamrę przedziwną ujęte drabiną aniołów i dziewic.

Tam u szczytu wspaniałość, królestwa Bożego — tu u stóp, nizinna nędza człowiecza...

Znijdź pomiędzy wszelkie smutne i biedne i jak wodami morskiemi pokryj padoły znajomością Boga, aby się przybliżyło Królestwo Pana...

Powiodą Cię Anielo anioły, jak siostrę kochaną.

Staną wokół Ciebie w szyku bojowym księstw i mocy, panowania i sprawiedliwości, głosiciele Boga, światłości Jego Cheruby, Miłości Jego Płomienie, Święte Serafy.

Misjonarką postanowionaś jest Angelo.

Bo cóż jest Misja, jedno posianie, aby nawróconą była dusza wszelka, ku umiłowaniu czynnemu Tego Który ją na obraz i podobieństwo Swe stworzył.

Jest wiek XVII we Francji — rozkwit słowa gallijskiego w literaturze i wielkie skupienie myśli filozoficznej.

Rybałty pieśni i budziciele sumień, wykwintni ironiści i szermierze potykający się w zbożnym boju.

Jest Bossuet i Pascal, Racine i Fenelon, Déscartes i La Bruyère i La Fontaine bajarz przemyślny.

Miasto Tours — o setki kilometrów oddalone od Paryża, już na zachodo-południu Francji wystrzela gotyckiemi iglicami wieżyc.

Na Urszulańskiej ulicy ubogi klasztor córek Św. Anieli de Merici, co apostołują w sercach dzieciąt i dzieweczek i we wszelkiem dziele miłości Boga i bliźnich.

Rok 1634 odchodzi ścieżką zamierzoną i... nie wróci.

Sen...

W białości ścian wapnem pobielonych spoczęło ciało postami i włosiennicą wycieńczone, bliznami dyscyplin okryte.

Spi siostra zakonna z pod znaku Św. Urszuli. Niedawno Jej biały woal nowicjuszki dano, wraz z imieniem Marji od Wcielenia.

Patrzy na służkę Swoją Chrystus na krzyżu rozpięty... Tuli ją w ramionach krwią ociekających Bóg-Człowiek, na drzewie hańby konający, dla naszego zbawienia.

Śni Siostra Urszulanka.

Widzi krainę ogromną, pustą, bezdrożną, i smutną w ornatach mgieł szarych. Idzie w nią — nie sama, a wiodąc za rękę jakąś świecką, nieznaną jej panią. Idą mozolnie w utrudzeniu wielkiem. Pani się wyrywa, zbiega gdzieś sama — a Marja od Wcielenia, nie bacząc na samotność, dąży gdzie skupia się światło wszystkie w białym marmurowym kościółku, gdzie z marmuru Matka Najświętsza z Dzieciątkiem. Ożywiają się postacie — Matka coś trzykrotnie szepce Synaczkowi i po trzykroć całuje Marję zakonnicę i nakazuje jej iść do Kanady.

Sen zniknął.

W XVII wieku niewiele wiedziano o Kanadzie. Ubogo kształcona Marja nie wiedziała nic — nawet nazwa obca jej była.

A jednak te pocałunki Królowej i Ozdoby nieba i ziemi takie wyraźne, że słodkość ich nie znika... I wskazanie nie wątpliwe... I kraj ów mogłaby narysować napewne.

Z szczerością dziecka opowiada szczegóły spowiednikowi — a on się nie dziwi.

Prorocze bywają sny.

Ojcowie Jezuici przysyłają Urszulankom „Relacje misyjne" Marja znajduje Kanadę w tym samym kształcie oglądaną.

Lecz cóż stąd? Wszak jest klauzurową mniszką. Ot chyba Ducha Złego omamienia. Modlitwa, praca i pokutne narzędzia pokój wracają.

Mijają lata.

Ojciec Poncet T. J. pisze w 1638 r. z prośbą do klasztoru w Tours, o siostry na fundacje w Kanadzie w Kwebeku. Kładzie nacisk szczególny, aby na przełożoną dano pomocnicę mistrzyni nowicjatu, już profeskę: Matkę Marję od Wcielenia.

W ślad za listem przybywa do Urszulanek pani Magdalena de la Peltrie, która majątek swój przeznaczyła na misję kanadyjską.

Matka Marja poznaje swą towarzyszkę ze snu.

We dwa dni później, uroczystem Veni Creator i Te Deum, rozbrzmiewa kaplica, gdy arcybiskup Bertrand d'Eschaux daje obedjencję do Kanady Matce Marji od Wcielenia i Siostrze Marji od św. Józefa.

W daleką podróż jedzie i pani de la Peltrie i świątobliwy skarbnik wyprawy p. de Bermières Londigny.

Działo się 22 lutego 1639 r.

Klauzurowe mniszki stały się misjonarkami... aby budowały Królestwo Boże.

I rzec mogą wraz ze Św. Pawłem: „A teraz oto ja związany duchem idę do Jeruzalem: nie wiedząc, co w niem na mnie przyjść ma". (Dzieje apost. XX. 22.)

Pojechały lądem i oceanem w burze i wichry na jutro niewiadome pośród dzikich ludów, aby wypełniły mandaty sprawy tak odwiecznej, jak odwieczne było w woli Bożej stworzenie ludzi i przeznaczenie ich do służby Boga.

Matka Marja od Wcielenia i jej towarzyszki jako anioły mocne... o obliczach, jako słońce. Głowy ich w obłokach — a stopy na lądzie i w głębinach mórz... Najwyższa kontemplacja i najwyższa aktywność córek anielskiej Anieli, co na drabinie niebo z ziemią łączącej, widziała zastępy dziewic i aniołów.

Marja od Wcielenia oddaje się Św. Archaniołowi Rafałowi w opiekę, aby wiódł ich gromadkę małą, jak kiedyś wiódł Tobjasza do kraju Medes, i w uroczystość Jego Święta otwiera swój ubożuchny klasztorek na ziemi pustej i bezdrożnej.

Ciekawych odsyłamy do dzieła Dom Albert Jamet p. t.:

„Ecrits spirituels et historiques de Marie de l'Incarnation Ursuline de Tours à Québec".

Tam jest historja 18 lat pracy heroicznej Urszulanki, śród Irokezów, Huronów, Montanezów i Algonkwinów.

Wychowawczyni święta w obrębie klasztoru, apostołka dzikusów u kraty przy furcie, jest mistrzynią duchowną sióstr, jest nieustraszoną dostarczycielką amunicji w 1660 r., gdy Irokezi napadają na Kwebek. Przeżywa mężnie trzęsienia ziemi, wojny, nędzę, pożary, zarazy. Uczy się

Z Boga jest uniwersalność zadań człowieczych.

Mniszka z Tours usłyszała: „Narody, których nie znałeś, przywołasz do siebie, narody, które ciebie nie znały, do ciebie pospieszą, dla Pana Boga Swego". (Izaj. 55. 4—5.)

Mniszka z Tours umarła w Kwebeku, po 18 latach pracy misyjnej — a jej córki duchowne wiernie prowadzą rozpoczęte dzieło.

Jeszcze za jej życia Grzegorz XV bullą „In-



Krajobraz chiński. Pola pracy misyjnej SS. Urszulanek polskich.

doskonale języków czterech wymienionych ludów, opracowuje ich słowniki.

Jest wszystkiem, dla wszystkich. Historja nowej Francji, to jej własne dzieje i dzieje Urszulańskiego zgromadzenia.

Skądże w niej mądrość świecka i żołnierska waleczność i strategja wodza i to macierzyństwo przedziwne i męczeński hart?

„Ubicumquae sanctitatis est, ibi habitaculum Dei est".

Tak mówi Św. Hieronim.

A świętość jest cicha i wierna i płodna — ani wątpi, ani się lęka, ani waha.

Pełni mandaty Pańskie. Nasłuchuje ich w duszy swej. Każdy w niej stwarza, co mówi i każdemu odpowiada.

structabili" utworzył specjalną kongregację misyjną: „de propaganda Fide, a Urban VIII, w kilka lat później założył seminarjum „Rozkrzewienia wiary".

Jest wiek XX w Polsce zmartwychwstałej.

Skończyła się wielka wojna narodów — największa w dziejach świata...

Przestala hukiem armatnim drżeć ziemia i zawarły się przewały mórz nad podwodnemi łodziami. Odpełzały gdzieś w dal ciężkie cielska tanków i oniemiały grzechotliwe gardziele kulomiotów.

Rzuciły się zagaje młode porządkować zgorzelinę spalonych lasów, a ziarna chlebne, pachnące wystrzeliły kłosami złotemi na zoranych okopami polach, a darń się puściła zielona, wesoła, kwiatuszkami przetkana na żołnierskich ziemiankach, na żołnierskich mogiłach.

Dźwignęły się z gruzów wsie i miasta, ledwo ludziskom z oczu zginęły widma bojów i głodu, pomoru i zarazy.

Wtoczyło się życie w dawne łożysko pracy, niefrasobliwego śmiechu, powagi i lekkomyślności, modlitwy i bluźnierstwa, kołysanek i pijackiej pieśni.

Odeszła wojna, jak wilkołak niesamowity, co się do komyszy w kniejach kryje, gdy północ wybija.

Tylko wierne serca matczyne szepcą „wieczne odpoczywanie", za ukochanych, co niezbudzonym zasnęli snem... Tylko biedne serca matczyne nasłuchują wbrew wszelkiej nadzieji, czy nie wróci ten, który „zaginął"...

Kraków. 1927.

W Urszulańskim klasztorze nauka szkolna w pełni.

Wiodą zakonne siostry hufiec dziewcząt, co mają być odrodzonej Ojczyzny podporą, wszystkim bliźnim siostrami, a Bogu pochwałą. Wiodą do klas po wiedzę — do kaplicy na modlitwę.

W sąsiednim domu Kurji Generalnej obradują córki św. Anieli nad sprawami Zgromadzenia i nad wychowaniem dzieci i modlą się w kapliczce malusiej, skupione pod obrazem, na którym widać drabinę z zastępem Aniołów i dziewic i klęczącą w zachwyceniu Angelę anielską...

Nad głowami szum skrzydeł anioła mocnego.. co głowę ma tęczą uwieńczoną, a stopy na morzu i lądzie...

Najwyższa kontemplacja.

Najwyższa aktywność... Z dalekiej ziemi przyszedł list — z mandżurskiej krainy, z Charbina.

Zew kapłański, pokorny do winnicy pracownice zapraszający... pomiędzy smutne i biedne — aby pokryte były padoły poznaniem Boga, aby się przybliżyło królestwo Pana.

Kilkaset dziewcząt: Polek i Chinek i Rosjanek czeka na córki Anieli de Merici.

Są katoliczki zaniedbane i prawosławne, od Kościoła oderwane; są i wyznawczynie Kon-futse. Są ich rodziny, co strzegą świętej prawdy; i są co ją zatraciły żyjąc w jakimś bezładzie narodowościowym i religijnym.

Wezwanie na misję, aby nawrócona była dusza wszelka, ku umiłowaniu czynnemu.

Czegóż to żąda Ojciec Gerard Piotrowski? aby mniszki Dziewicy z Brescii przywołały ku sobie narody, których nie znają — aby narody, które ich nie znały pospieszyły do nich dla Pana Boga wszechmocnego?

Trwają narody w Kurjalnym domu i modlitwy trwają o łaskę światła.

Snują się przed oczyma wszystkie obrazy okrucieństw kraju bolszewickiego, przez który jechać trzeba do Charbina tyle dni i nocy niebezpiecznych... Roztkliwia się serce myślą o tych polskich rodzinach zesłańców i dobrowolnych banitów... Jak widmo jawią się żółte, chytre twarze Chińczyków, azjatów złośliwych.

Ale to są pierwiastki emocjonalne – nie o nie chodzi. Rozważyć trzeba szanse i bytu materjalnego i możliwości wyłowienia z domów prowincji polskiej, dostatecznej ilości misjonarek, w zgromadzeniu przeciążonem już pracą nad wszelką miarę, w epoce kryzysu ekonomicznego, w znoju powojennego dźwigania się.

Historja katolicyzmu w Charbinie żywym mówi głosem, że to ludne dziś miasto pod władzą Chin będące, już od połowy siedemnastowiecza zna Ewangelję przyniesioną im z Pekinu. Leży na prawym brzegu Sungari na trakcie od tysiącleci ruchliwym, bo tędy wiodła droga handlowa z zachodu do Korei i do portów Oceanu Spokojnego.

Słowo Boże nieśli zapewne kupcy, tak jak w Północnej Kanadzie poprzednikami misjonarzy byli francuscy wędrowcy leśni, co dla Towarzystw handlowych nabywali skóry na futra.

Na początku XIX stulecia wybuchły prześladowania. Użyźniły pola Mandżurji, aby przygłuszony katolicyzm znów odżyć mógł, aby Stolica Piotrowa dla północy państwa Chińskiego założyć mogła wikarjat apostolski: „Za murami".

Samo miasto młode jeszcze na tej starej ziemskiej postaci, której początek z epoki eolitu wywodzą uczeni. *C. d. n.*

Co to jest Agencja Fides?

Agencja Fides, to biuro wiadomości dotyczące misyj katolickich. Wiąże ona ze sobą cały świat katolicki i misje Kościoła wszystkich części świata. Dostarcza dziennikom i tygodnikom wiadomości, fotografji, artykułów.

Główne biuro Agencji znajduje się w pałacu Rozkrzewienia Wiary w Rzymie. Z tego biura wychodzą codziennie wiadomości do przeszło 42 krajów i do przeszło 1500 czasopism. Na czele Agencji stoi dyrektor i rada, złożona z pięciu redaktorów. W każdym wikarjacie misyjnym Agencja ma swoich korespondentów.

(Wedł. Roczników P. Dz. R. W.)

WIELKI APOSTOŁ TRĘDOWATYCH

Zaryzykować swe życie na kilka godzin, lub na kilka dni na polu bitwy, lub w czasie epidemji, jest to poświęcenie, na które zgodzą się chętnie wszyscy ludzie o dobrem sercu; ale wejść żywcem w grób, gdzie śmierć na was czatuje i spotka was z pewnością, jest odwagą nadludzką". Temi słowy określił we francuskiej Izbie deputowanych w r. 1912, p. Ge Myrc de Vilers misjonarzy, poświęcających się pielęgnowaniu trędowatych na Madagaskarze, a przedewszystkiem ks. Jana Beyzyma T. J., którego śmierś w jesieni 1912 wzbudziła w całym, nawet i niekatolickim, kulturalnym świecie głębokie wrażenie, oraz podziw dla bohaterstwa polskiego Misjonarza.

Ks. Jan Beyzym urodził się 15 maja 1850 roku w Beyzymach Wielkich – dziedzicznej, starodawnej siedzibie swego rodu. Młodość, szczęśliwie spędzaną w domu rodzinnym w gronie rodzeństwa, wkrótce zatruły wypadki 1863 roku. Ojciec Jana został za udział w powstaniu zaocznie skazany na śmierć, matka i rodzeństwo znalazły się w ciężkiem materjalnem położeniu. W tych warunkach kończy Jan szkoły w Kijowie, poczem udaje się do byłej Galicji, by zobaczyć się, z przebywającym tamże na wygnaniu ojcem. Tutaj dojrzewa w młodzieńcu powołanie duchowne, którego realizacja nastąpiła w dniu 11 grudnia 1872 roku przez wstąpienie do nowicjatu zakonu Tow. Jezusowego w kolegjum w Starej Wsi. Lata nowicjatu szybko mijają, młody zakonnik zyskuje powszechne uznanie przełożonych, a równocześnie miłość uczniów tarnopolskiego konwiktu szkolnego OO. Jezuitów, gdzie czas jakiś pełni obowiązki wychowawcy. Ukończywszy teologiczne studja w Krakowie otrzymuje przyszły apostoł trędowatych 26 lipca 1881 święcenia kapłańskie z rąk ks. biskupa Dunajewskiego, poczem wraca do Tarnopola, by (z przerwą czasokresu t. zw. „trzeciej probacji") pracować lat kilkanaście nad wychowaniem młodzieży. Z chwilą założenia konwiktu chyrowskiego, opuszcza w r. 1887 ks. Beyzym Tarnopol i przenosi się do Chyrowa, gdzie przez jedenaście lat pracuje nad kształceniem młodocianych dusz polkiej młodzieży. W sercach tych wszystkich, którym dane było zetknąć się z ukochanym „Ojcem Tatarem" (takie bowiem ze względu na rodzinną tradycję Beyzymów zyskał wśród młodzieży miano) pozostały rzewne i głębokie, a pełne idealizmu i wdzięczności wspomnienia.

Nowy — ostatni etap życia rozpoczął ks. Beyzym w 1898 roku. W grudniu bowiem tegoż roku stanął na skwarnej ziemi Madagaskaru, by przez lat czternaście pełnić służbę miłosierdzia chrześcijańskiego w zakładach trędowatych Malgaszów. Heroizm krył się w ostatnim, misyjnym etapie zakonnego powołania ks. Beyzyma i ten właśnie heroizm każe mu nieść pomoc dla dusz i ciał tych nieszczęśliwych dzikich, którzy dotknięci nieuleczalną straszną chorobą zostali wyjęci za nawias społeczeństwa ludzkiego, którzy trzymani byli w zamknięciu jak dzikie, niebezpieczne zwierzęta, aż do pełnej męczarni i bólów śmierci. W chwili przybycia ks. Beyzyma do Ambahiwuraku pierwszej swej misyjnej placówki na Madagaskarze stan trędowatych byt tragiczny, pod względem ich materjalnego niedostatku i potrzeb. Usilne starania niestrudzonego zakonnika zyskały odzew przedewszystkiem w Polsce, posypały się liczne ofiary, – zainteresował się nawet trędowatymi ks. Beyzyma rząd francuski. Ks. Beyzym pragnie przedewszystkiem zmienić materjalne warunki życia swych „czarnych piskląt", by tem skuteczniej pracować nad ich duszami. Nie zrażony trudami i przeciwnnościami, ufny w bezgraniczną pomoc Bożej Rodzicielki osiąga na rok przed kresem swej ziemskiej wędrówki – swój cel. W Ambatawory obok Maranry staje wspaniały szpital trędowatych, mogący pomieścić 200 osób, z kaplicą, ogrodem, zabudowaniami. Tyle zdziałał ks. Beyzym dla ciała nieszczęśliwych swych „czarnych piskląt", a ile zdziałał równocześnie dla ich dusz? To wyczytać można z jego pięknych listów drukowanych w Misjach Katolickich, czy w osobnem książkowem wydaniu. Z prostych jego opowiadań bije choć starannie ukrywane i pełne skromności bohaterstwo polskiego misjonarza, z nich też można poznać głębię jego samozaparcia się i miłości bliźniego. Nadmierna praca zużywała jednak siły zdrowego i czerstwego dawniej misjonarza. Zmożony nadludzką pracą, zarażony w końcu trądem, umarł ks. Jan Beyzym 2 października 1912, w 63 roku życia. Postać polskiego kapłana ozłociła świetlanym blaskiem przedwojenne lata, tak pełne materjalizmu i praktycznego ateizmu, jaśniała ona, jako kontrast ducha wobec wszechwładnej zdawało się materji. Niedługo może jednak zajaśnieje ona niegasnącym blaskiem wśród orszaku Świętych Pańskich, o co modlitwą prosić winno całe polskie, katolickie społeczeństwo.

Marja Pelczarowa.

Z RÓŻNYCH STRON

W Indjach Wschodnich wzmaga się działalność komunizmu. Jej to przypisują zamordowanie rodzimego kapłana O. Khang'a.



Młode Chinki idące z postępem czasu zarzuciły zwyczaj zniekształcania stóp.

Wyspa Sachalin przechodzi pod działalność misyjną polskiej prowincji fraciszkańskiej, a dotychczasowi misjonarze obejmą pracę na wschodniej części wyspy Hakkaido-Jeso, położonej na południe od Sachalinu.

W Małej Azji, w Syrji daje się zauważyć silniejszy ruch misyjny katolicki, do czego przyczyniają się gorliwą pracą OO. Jezuici i Maryści, posiadający kolegja, cieszące się liczną frekwencją muzułmanów.

Dla biednych polskich dzieci wychowujących się w zakladzie SS. Urszulanek **w Charbinie** nadesłano: Seminarjum i szkoła zawodowa w Rybniku 82 zł. 50 gr. Bezimiennie 120 zł. Kółka Misyjne SS. Urszulanek w Gdyni 31 zł., w Stanisławowie 50 zł. — Zamiast kwiatów imieninowych: Danusia Szelichówna 10 zł., Krysia Genowska 5 zł., Zosia Możdżyńska 3 zł. Za te ofiary składa redakcja serdeczne „Bóg zapłać!"

CO WIEDZIEĆ WARTO?

W lutym b. r. cała Polska obchodziła **50-cioletnią rocznicę** powstania zasłużonej instytucji — **Kasy im. Mianowskiego.** Instytucja ta założona została z inicjatywy Filipa Sulimierskiego, a pierwszym jej prezesem był dr. Tytus Chałubiński. W czasach, kiedy rządy zaborcze utrudniały Polakom pracę nad rozwojem kultury narodowej, Kasa im. Mianowskiego pod pozorem działalności „dobroczynnej" stała się ośrodkiem polskiej pracy naukowej, paraliżując skutecznie rusyfikację przez oddziaływanie na młodzież w kółkach samokształceniowych i skupianie w swojem łonie najwybitniejszych polskich umysłów. W czasie wielkiej wojny wykorzystano lepszy układ okoliczności i oficjalnie przekształcono Kasę w r. 1916 na nowożytny instytut popierania polskiej twórczości naukowej. Wydano szereg znakomitych prac (przeszło 1200 tomów) i udzielono licznych subwencyj na studja. Ponadto, założono Obserwatorjum Magnetyczne w Świdrze i Archiwum Ikonograficzne w Warszawie, oraz szereg domów wypoczynkowych dla uczonych. Wolna Polska ocenić winna doniosłość pracy dostojnej instytucji.

Sejm polski uchwalił nową **ustawę**, dotyczącą **reformy szkolnictwa**.

Rząd Polski zwinął ze względów oszczędnościowych **dwie placówki konsularne** w Stanach Zjednoczonych A. P. — w Buffalo i w Detroit.

W lutym b. r. Ameryka obchodziła uroczyście **200-lecie urodzin** pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych **Jerzego Washingtona**. Uroczystości amerykańskie odbiły się głośnem echem w Europie.

Przedmiotem ostatnich rozważań Ligi Narodów stała się **sprawa Kłajpedy,** która po wielkiej wojnie została przyłączona do Litwy, zachowując jednak rozległą autonomję. Władzę wykonawczą wolnego miasta Kłajpedy reprezentował dyrektorjat, w skład którego wchodzili obok Litwinów także Niemcy. W lutym b. r. Litwini, wbrew postanowieniom międzynarodowym usunęli dyrektorjat przy użyciu siły zbrojnej, dążąc do odebrania Kłajpedzie autonomji i do włączenia jej bezpośrednio do obszaru swego państwa. Pogwałcenie ustaw międzynarodowych przez Litwinów wymaga interwencji Ligi Narodów.

We Francji po upadku gabinetu Lavala utworzony został **nowy rząd,** na którego czele stanął Tardieu, piastujący jednocześnie tekę ministra spraw zagranicznych.



Chorąży wojska państwa Wschodzącego Słońca.

Na dalekim Wschodzie walki trwają. Ultimatum żądające od Chińczyków wycofania wojsk poza Szanghaj zostało przez nich odrzucone

22 lutego b. r. proklamowano w Mugdenie **niepodległość Rzeczypospolitej Mandżurskiej.** Na czele jej stanął jako prezydent były cesarz chiński **Pu-Yi**.

Dnia 7 marca b. r. zmarł w Paryżu człowiek wielkiego serca i umysłu. — Arystydes Briand. Wybitny polityk od szeregu lat odgrywający poważną rolę w życiu Francji. — W r. 1906 powołany na stanowisko ministra oświaty, potem kolejno piastuje teki min. sprawiedliwości, znowu oświaty, spraw zagranicznych, a nawet kandyduje na urząd prezydenta państwa. Wielokrotny minister i premjer rządu francuskiego, zajmuje też wybitne stanowisko w polityce międzynarodowej i zostaje nawet prezesem Rady Ligi Narodów. Dążąc do „rozbrojenia moralnego" Europy, pragnie dla idei swej pozyskać Niemców, choćby za cenę ustępstw ze strony Francji. Za jego wpływem Niemcy otrzymują miejsce w Lidze Narodów. — Dzięki jemu dochodzi do usunięcia kontroli zbrojeń niemieckich i wcześniejszej ewakuacji Nadrenji. Idealnych swych planów Briand nie zdołał zrealizować wobec wojowniczej podstawy Niemców. — Nie mniej jednak myśli jego znalazły zwolenników dążących do urzeczywistnienia szczytnych haseł „Pan Europy". — Plany polityki Brianda zmierzały do wzmocnienia stanowiska Ligi Narodów, jako reprezentacji wszystkich państw, pragnących współpracować w realizacji wielkiej Idei Pokoju.

ZE SPORTU

W III-ciej zimowej olimpjadzie w Lake Placid wzięły udział reprezentacje 17 państw — a zawodom przyglądały się kilkunastotysięczne tłumy publiczności.

Na czoło zawodników wysunęli się Amerykanie, którzy otrzymali najwyższą ilość nagród — złotych medali olimpijskich zastępujących wieńce laurowe, zdobiące głowy zwycięzców w starożytnej prerji. Amerykanie zwyciężyli we wszystkich konkurencjach jazdy szybkiej na lodzie i w bobsleighu. W innych rodzajach zawodów zajęli również miejsca bardzo dobre.

Najwyższą klasę narciarstwa reprezentowały jak zwykle państwa skandynawskie. W biegu złożonym na pierwsze miejsce wysunął się Norweg Johann Groettumsbraaten, w konkursie skoków — również Norweg Birger Ruud. W otwartym biegu na 18 km. zwyciężył Szwed Sven Utterstroem, a w biegu na 50 km. — Finlandczyk Saazingen. Jak widzimy więc Skandynawja zajęła w narciarstwie najlepsze miejsca, zdobywając 96 punktów na 100 możliwych.

Wśród polskich narciarzy najlepszą formę wykazał Bronisław Czech, zdobywając siódme miejsce w biegu złożonym i dwunaste w skokach.

W hokeyu pierwsze miejsce utrzymała w dalszym ciągu Kanada, w bobsleighu — Ameryka, bijąc dotychczasowego mistrza — Niemcy. — Natomiast w jeździe figurowej na lodzie Amerykanie ulegli przewadze Europy. W zawodach panów pierwsze miejsce zdobył Wiedeńczyk Karol Schaeffer, w konkurencji pań — Norweżka Sonja Henje, w zawodach par — Francuzi państwo Brunet.

* * *

Dnia 6 marca cała Polska usłyszała wieść smutną o śmierci zasłużonego Polaka-patrjoty, ks. **Biskupa Władysława Bandurskiego.** Człowiek głęboko i wszechstronnie wykształcony, służący Bogu i Ojczyźnie. Od r. 1906. biskup-sufragan lwowski, od chwili rozpoczęcia walk legjonów – obejmuje godność biskupa polowego wojsk Polskich. Za działalność patrjotyczną odznaczony krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem zasługi i licznemi odznakami honorowemi. Wszechstronny umysł ks. biskupa Bandurskiego pociąga również twórcza praca literacka. Stwarza dzieła pełne polotu i gorącego patrjotyzmu jak n. p. »Ducha nie gaście«, »Praca i cierpienie«, »Królowa Jadwiga«, »Krwi ofiarnej cześć« i t. d.

Zgon zasłużonego patrjoty w całem społeczeństwie obudził żal głęboki.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Wanda Miłaszewska — „Czarna Hańcza"
(wyd. św. Wojciecha)

Dwoje młodych, Wanda i Tadzio wybrali się małym, żaglowym kajakiem poprzez jeziora i kanały pokrywające splątaną siecią kraj około Suwałek i Augustowa. Przeprawiają się przez liczne śluzy kanału augustowskiego, żeglują po ogromnem, a tak często burzliwem jeziorze Wigierskiem, jadą w dół uroczej, kręto się wijącej rzeki, Czarna Hańcza. Ich kajak Bóbr jest malutki, zwrotny, zgrabny, ale i wywrotny; to też często są o włos od przykrej kąpieli na głębokich wodach jezior, muszą z wielką umiejętnością operować żaglem i sterem Gdy wiatr jest silniejszy mkną jak strzała, gdy opada muszą się dobrze napracować wiosłami. Czasem siądą na mieliźnie, czasem w nocy tracą drogę w gęstych sitowiach. Ale te przygody, a nawet niebezpieczeństwa nie psują humoru śmiałym żeglarzom. Na kajaku jest stale wesoło, rozbrzmiewa śmiech, nie obejdzie się i bez sprzeczek i dogadywań.

Ale i trudy i sprzeczki schodzą stale na plan drugi wobec gorącego podziwu, jakim załogę Bobra napełnia piękno oglądanego krajobrazu. Woda i woda — jeziora usiane wysepkami, malownicze wybrzeża, rzeka wijąca się kapryśnie wśród plątaniny drzew i łąk, odbijająca w swym przejrzystym nurcie wielotonową zieleń drzew, błękit nieba, pstrokaciznę kwiatów. Zaiste, chętnie wierzymy autorce, że jest to kraj marzeń i bajki, kraj pełen cudów i czaru.

„Czarna Hańcza" ozdobiona ślicznemi ilustracjami według fotografij słynnego wileńskiego fotografa-artysty Bułhaka — to książka nietylko przyjemna do czytania, to także książka, z której uczymy się poznawać i kochać piękność naszego kraju

Juljusz Kaden-Bandrowski, Aciaki z I – A
(wyd. zakł. nar. im. Ossolińskich).

Każdy kto czytał książki Juljusza Kaden-Bandrowskiego „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny" (a któż ich nie czytał?) z zaciekawieniem i przyjemnością weźmie do ręki Aciaków z I—A.

Tym razem autor nie opowiada wspomnień ze swego dzieciństwa, lecz zajmuje się historją swoich dwóch synów, uczniów klasy I—A. Opowiada epizody z ich życia w domu i szkole. Przypomina sobie, jakie były stosunki szkolne za jego czasów i porównuje je ze stosunkami dzisiejszymi. Widzi, jak wielki postęp zrobiło szkolnictwo, o ile dzieci dzisiejsze mają naukę łatwiejszą i milszą niż dzieci dawniejsze.

Prawdopodobnie więc książka ta wzbudzi specjalne zainteresowanie wśród młodzieży szkolnej.

Zofja Kossak-Szczucka, Ku swoim (wyd św. Wojciecha*).

Na podtytule powieści Szczuckiej, Ku swoim, widnieje napis „dla młodzieży". Ale cechą wielkich, prawdziwych talentów jest, że czy piszą dla dorosłych, czy dla młodych, są czytani z przyjemnością i zainteresowaniem przez wszystkich. To też nowa książka Kossak Szczuckiej wzbudzi zapewne zainteresowanie wśród czytelników wszelkich wieków.

„Ku swoim" jest to historja rodziny ziemiańskiej na Wołyniu: Ojca zamordowali bolszewicy,

*) Drukowane po raz pierwszy w „Dziś i Jutro" w 1929 r.

matka z trojgiem dzieci żyje od wielu już lat w ubogiej, chłopskiej chacie, opodal zburzonego dworu, zarabiając na życie swoje i dzieci szyciem.

Po latach twardego tego życia spostrzega nagle z przerażeniem, że otoczenie bolszewickie zaczyna fatalnie oddziaływać na jej dzieci, zwłaszcza na najstarszego syna. Widzi u niego zachwianie się uczuć religijnych, zachwianie zasad moralnych. Przemyśliwa więc, jakby ich z pod tego zgubnego wpływu wyrwać, jakby przedostać się do Polski, gdzie dzieci mogłyby otrzymać uczciwe wychowanie i wykształcenie. Jak się te jej wysiłki rozwijają, co przeżywa rodzina Turskich w usiłowanej ucieczce „ku swoim", tego dowiecie się już, drogie czytelniczki, z samej książki. Żadne streszczenie nie potrafi oddać siły i żywości scen odmalowywanych przez wielką epiczkę. Tutaj chcę tylko zwrócić waszą uwagę na pewne walory, które mogłyby ujść waszej uwadze przy czytaniu pochłaniającej fabuły. Naprzód więc na śliczną i wzruszającą postać matki, której pierwszą i najważniejszą troską jest dobro moralne jej dzieci. Bo choć to książka dla młodzieży, główną jej bohaterką jest ta pełna słodyczy ale i hartu matka. Dalej czytając zwróćcie uwagę na tę wzruszającą miłość, z jaką autorka odnosi się do naszych straconych i zniszczonych kresów, i na uczucia iście chrześcijańskie, z jakiemi odnosi się do ludzi, którzy tak ciężko skrzywdzili całą jej rodzinę, i na tę nutę ufności, w której wyczuwamy wiarę, że kresy te kiedyś odzyskamy, odbudujemy i oświatę, miłość i przebaczenie zaniesiemy w ten lud, dziś obałamucony i przez złe wpływy omotany. Są to te same motywy, które temu kilka lat tak bardzo nas ujęły i wzruszyły gdy w „Pożodze" opowiadała nam autorka straszne dzieje swoje i swojej rodziny. To też niema wątpliwości, że i w tej książce wiele jest opisów, sytuacji a przedewszystkiem, uczuć i wrażeń zaczerpniętych z życia.

Henrjeta Brey, *„Józef Ben Dawid"*. — *S. Jelenski*, *„Hallelu Jah* (wyd. Księg. św. Wojciecha w Poznaniu).

Obie te książeczki to opowiadania biblijne, a raczej ewangeliczne. Pierwsza opowiada w formie powieściowej życie św. Józefa, druga historję Łazarza i jego sióstr. W fabułę zaczerpniętą ściśle z ewangelji są wplecione opisy krajobrazów i obyczajów ówczesnych, a także i różne pobożne legendy z życia Pana Jezusa na ziemi. Obie te książki przeczytać można z korzyścią, gdyż dobrze jest zawsze pomóc swojej wyobraźni, aby umiała odtworzyć i oczyma duszy oglądać wszystkie zewnętrzne okoliczności, wśród których odbywał się ten największy cud świata: życie Boga-człowieka na ziemi.

Zofja Starowieyska-Morstinowa

CZY RZECZYWIŚCIE INNE CZASY?

(Odpowiedź Maruszce N. z VII gimn.)

Z wielkiem zainteresowaniem przeczytałam Twoją „Odpowiedź Babuni". Interesują mnie niezmiernie czasy obecne, ich różnica z dawniejszymi, i młodzież dzisiejsza i powiem odrazu, że te czasy dzisiejsze — mimo że wszyscy na nie narzekają — lubię, widzę ich dobre strony, lubię i cenię młodzież dzisiejszą i twoje jasne i szczere scharakteryzowanie tej młodzieży bardzo mnie zainteresowało i dało dużo do myślenia.

Naprzód więc doszłam do bardzo dziwnego wniosku: a mianowicie, że te różnice między dawnymi a dzisiejszymi czasy są bardziej zewnętrzne i powierzchowne niżby się zdawać mogło. Jest oczywiście olbrzymia różnica w sposobie życia, ale czyż jest znowu tak wielki przedział w celach i dążeniach tego życia?

Czyż głównym celem i dążeniem osoby młodej nie powinno być wydobycie z siebie maximum walorów moralnych, duchowych i intelektualnych, wyrobienie i wzmocnienie najlepszych, najistotniejszych pierwiastków swego „ja", urobienie się na „człowieka" pełnowartościowego, któryby w każdych warunkach życia potrafił być jednost-

ką zdolną do najowocniejszej pracy dla drugich? I czyż to samo nie było, w każdym razie czy nie powinno było być, celem naszych babek i prababek? Nie wszystkie kobiety dawniejsze do celu tego dążyły i cel ten spełniały i nie cała młodzież dzisiejsza wysiłek ten podejmuje. Były dawniej i są dzisiaj jednostki idące zawsze po linji najmniejszego oporu, jednostki płytkie, chcące się bawić a nie chcące podjąć wielkiego moralnego i intelektualnego wysiłku, który tak dawniej jak i dzisiaj był zawsze ceną, którą trzeba płacić za zdobycie i przyswojenie sobie wyższych walorów moralnych i życiowych.

Wiele naszych babek głuszyło w sobie „zew" do wyższych lotów brzękiem garnków kuchennych tak, jak wiele panien dzisiejszych głuszy je hałasem jazbandu. Wiele pań w krynolinach i turniurach fałszowało sobie perspektywy duchowe myślą, że smażenie konfitur jest alfą i omegą życia — wiele panien w swetrach i krótkich sukienkach paczy je tak samo, myśląc, że sport jest wszystko obejmującym celem. Wiele dam w wysoko upiętych kokach na głowie zabijało bezduszność i pustkę wewnętrzną godzinnem brzdąkaniem na fortepianie — wiele dziś młodych osóbek z ładnie zaondulowanemi włosami zapełnia tę samą pustkę godzinnem wysiadywaniem na głupich filmach. Sposoby były inne, skutek ten sam: niedostrzeżenie, niezrozumienie „tego, co najważniejsze". A tak wówczas, jak i dzisiaj „jednego tylko potrzeba" jak mówi ewangelja, aby naprawdę stać się człowiekiem. Zmieniły się warunki i sposoby życia, nie zmieniły się jego cele i główne wartości.

Takie dziwne myśli nasunął mi twój artykuł, Maruszko N. nasunął mi i wiele innych o ciekawym a trudnym kunszcie ustawiania perspektyw życiowych, o wzajemnym stosunku życiowych walorów i wielkiej mądrości jaka leży w tem, aby każdemu z tych walorów nadać właściwe mu miejsce. Ale zadługo byłoby dziś o tem pisać. Może jeszcze, jeśli zechcesz, porozmawiamy kiedy; chętnie porozmawiałabym i o tem i o teatrze i o kinie i o wielkim genjalnym Konradzie, o którym wspominasz, bo widzę, że ty należysz do tej grupy młodzieży, która wiele myśli, do wielu rzeczy dąży i chce żyć szerokiem pełnowartościowem życiem.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Iri. Za miły list dziękuję. Dobry to znak, gdy odmowa nie zraża! — Pracować w tym kierunku warto, ale radzę starać się o wielką prostotę, tak w sposobie ujęcia tematu jak i w sposobie wyrażania się. Ważną też rzeczą jest plan całości.

Kto nadesłał wierszyki „W kaplicy" i inne? Bezimiennym nie możemy odpowiadać.

„**Maturzystkę**" proszę o więcej materjału.

JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY

UKRAINA W PIEŚNI

Czy Ty słyszysz, Antoni, z pod ciemnej mogiły
Jaki poszmer twa „Marja“ uczyniła w świecie? —
Jak lutni Twojej struny w sercach zadzwoniły,
Z jaką czcią na Twój całun usypujem kwiecie...

A. Asnyk.

Ucichł bujny step ukołysany smętnemi dumkami wiatru...

Zamglonemi smutkiem oczyma wodzi po horyzoncie wypatrując kogoś...

Step tęskni —

Tęskni za ślicznym modrookim swawolnym chłopczykiem, który go nieraz rozweselał.... który rozumiał jego każdy ból... każde westchnienie... dla którego był wszystkiem... Chciałby znów jak dawniej opowiadać swemu pupilkowi dziwy — o kurhanach samotnie sterczących... o niesamowitych harcach nocnych... chciałby jak dawniej zanucić mu smętną dumkę o »smagłolicym Kozaku«...

Lata płyną jak potoki górskie...

— »Zapomniał pewnie!« — wzdycha żałośnie step staruszek. A tam hen, hen daleko — śliczne pacholę przeobraziło się w dorodnego młodzieńca, który całą duszą rwie się do świata i jego uciech, pragnie upoić się haszyszem życia aż do utraty przytomności, wyciąga spragnione ramiona po puhar napełniony po brzegi winem życia. — Dotyka brzegu ustami i upojony pada...

W jednej chwili młodzieniec staje się starcem...

— »Dosyć już, dosyć!« — woła — »zmęczony jestem... tyle wycierpiałem! — Myślałem, że dotykając łaknącemi usty złotego brzegu puharu osiągnę to, do czego każdy ma prawo i każdy dąży... »szczęście«... Jakżeż boleśnie zawiodłem się!... Zanim dotknąłem lśniącego brzegu wszystko i wszyscy do mnie się uśmiechało... a teraz?! — — Niepotrzebny jestem światu... niezdolny jestem do życia«...

Przymyka oczy.

Słyszy wyraźnie, zrazu cichutki, potem coraz to silniejszy głos — »wróć do mnie — czekam — tęsknię!«...

Niema sił podnieść się, by pójść za tym głosem. Leży bez ruchu cichutko, tylko z ust jego płynie czarowna »dumka« biorąca z dna serca swój początek i przybiera na się postać »Marji«, która jedwabistą, pajęczą nicią swego uroku omotywuje serce czytelnika, która »śmiało do walki wyzywa Litwina i śmiało plac trzyma z »Konradem« i »Dziady«. —

Powrócił... Step przestał tęsknić! — Jest dumny ze swego pupila i »czoło wielkich swych wieszczów« jego »wieńczy ślady«. —

Ryśka M. ucz. VII kl.
Kościerzyna

WIĘCEJ RADOŚCI.

Mam dużo słońca w duszy i chcę się niem z ludźmi dzielić,
By wszyscy byli szczęśliwi i życia jak ja pragnęli!
Bo w szczęściu stopi się smutek, złość ludzka na proch się zetrze,
Świat cały wezmę w ramiona i będę się śmiała w przestrzeń!

A gdy przekleństwo w modlitwę, skargi zamienią się w złoto,
Tęcza nad sercem zabłyśnie, łzy się w djamenty przetopią.
I gdy się zbędą ludzie swych tęsknot chwiejnych na wietrze,
Świat cały wezmę w ramiona i będę się śmiała w przestrzeń!

„Maturzystka z Poznania“.

JESZCZE W ODPOWIEDZI „BABUNI“ SŁÓW PARĘ

Często z ust starszych ludzi padają słowa pełne żalu i ubolewań nad rzekomo beznadziejną rzeczywistością:

„W dzisiejszych czasach to rzadkość spotkać człowieka o wyrobionym charakterze, a zwłaszcza młodzież dzisiejsza jest zepsuta do szpiku kości, zupełnie zdemoralizowana. Brak jej polotu myśli brak ideału. Nie umie wznieść się na wyżyny piękna, by spojrzeć stamtąd okiem krytycznem na świat tonący w zatęchłej atmosferze powojennej. Nie mnie rozwinąć skrzydeł do lotu.

Inna była młodzież za naszych czasów!

Z oczu jej aż biła prawdziwa radość życia. Miała swoje idee, w imię których pracowała gorliwie, a gdy zaszła potrzeba, poświęcała nawet życie. Wiedziała do czego dąży i czego pragnie.

Wesoła i trzpiotowata, jak Gustaw ze „Ślubów panieńskich“, nie zaniedbywała przytem swoich obowiązków. Oj, inaczej, inaczej teraz!“...

Tak, inaczej teraz!

Ano, inne czasy, inni ludzie!

Prawda, że dzisiejszą młodzież ogarnął szał zabawowy, zda się, iż chciałyby jednym haustem wychylić kielich napełniony po brzegi musującym szampanem życia i w huraganowym, opętańczym locie zapomina o swojem przeznaczeniu. Przyczyniła się do tego w dużej mierze wojna światowa, która w różnych dziedzinach zrobiła przewrót, a największy chyba — podkopując podstawy etyki moralnej. Jest to jednak tylko chwilowy szał.

Młodzież wyrwawa z pod czujnego oka opiekunów rzuca się w wir uciech, leci jak ćma do światła, ale wkrótce skrzydełka jej się opalają i przychodzi opamiętanie.

A jednak młodzież dzisiejsza, o której uszy obijają się codzień tysiączne narzekania i skargi na ciężkie czasy, na brak gotówki i t. d. zdaje sobie sprawę z trudnej sytuacji w jakiej znajduje się społeczeństwo i wcześniej niż dawniejsza zaprawia się do pchania ciężkiej taczki życia.

Zarzuca jej się, że zbyt impulsywnie wchłania treść złych książek, kin i t. p. stąd zawcześnie poznaje realizm życia. Może jest w tem trochę racji, bo natury słabe „niedorozwinięte“ psują się łatwo, ale za to silne i obdarzone zmysłem estetycznym, odrzucą zło, a przyswoją sobie to, co piękne.

Młodzież poznawszy życie w całej jego prawdzie, łatwiej zastanowi się nad jego wymaganiami i niebezpieczeństwem i poczyni odpowiednie postanowienia. Dawniej, nie brała młodzież pierwszej lepszej książki do ręki, nie przechodziła wcześnie szkoły życia, nieobeznana z życiem, patrzyła zbyt idealnie i naiwnie na świat, to też często spotykały ją bolesne zawody; dzisiejsza idzie w świat, lepiej przygotowana i wie już jak ma sterować łodzią swego życia, by ominąć skały zdradliwe, o które się łatwo łódź rozbić może. To że wśród młodzieży zdarzają się spaczone poglądy na ognisko domowe, to nie jej wina.

Napozór pusta i nietroszcząca się o nic, kryje w sobie młodzież obecna duszę szlachetną i silny charakter gotowy w każdej chwili do lotu wzwyż po piękno.

Z pewnością za sto lat, będą i o nas starsi wyrażać się pochlebnie i stawiać na wzór naszym pokoleniom.

Ryśka M. ucz. kl. VII.
Kościerzyna

KRAJOBRAZ

Szeroko rozciągnięte rudo-płowe pola,
Chropowate grudami rozoranej ziemi,
Poprzeżynane bruzdami sinemi
I miedz zielenią — cicha spracowana rola.
Ponad ziemią spokojną, wilgotną i senną
Wysoko stoi słońce w chmury otulone,
Wątły promień przeniknął poprzez chmur zasłonę
I spadł na ziemię strzałą złocisto-promienną.
Rozpędza nam nalot matowego cienia,
Na pola jasną strugą światła spływa,
Przydrożny krzyż zmurszały jasnością okrywa,
Każdą piędź ziemi wyzłaca i dziwnie odziewa
Jak różaniec złotemi przesuwa palcami
Krople rosy nizane za nitkę pajęczą.
Każdą kroplę napełnia jedną drżącą tęczą.
A wiatr modlitwy szepce cichemi ustami
I pośród zeszłorocznych traw szeleści.
Trąca w przelocie smutne, opuszczone drzewa
Z cichym poszumem wokoło rozsiewa
Stosy zeschniętych, poskręcanych liści. H. Ł.

JA EGZAMIN I KOT

(Ciąg dalszy).

Oczy kota wzrastały w mojej fantazji do olbrzymich rozmiarów, patrzyły na mnie z uporem, zasłaniały skrypta, wypełniły pokój cały. Mój niepokój zaczął się teraz przeradzać w jakiś dziwny lęk. W tych oczach, wpatrzonych we mnie było coś przejmującego dreszczem, dziwnego i niesamowitego. Zacząłem sobie wyobrażać, że oto kot gotuje się do skoku... za chwilę skoczy, znajdzie się tuż przedemną, wpatrując się ciągle we mnie swojemi dziwnemi oczami... wstrząsnąłem się. Od strony kota doszedł mię lekki szmer, serce zabiło mi gwałtownie, krew uderzyła do głowy — porwałem książkę... to nic, kot tylko się poruszył; wzroku nie odwrócił zresztą, oczy tylko rozszerzyły mu się więcej i wyraz ich stał się jeszcze bardziej natężony i badawczy. Porwałem kapelusz i wybiegłem na miasto. Parę godzin chyba włóczyłem się po ulicach starając się uspokoić wzburzone nerwy widokiem celowego, zdrowego ruchu ulicy, aż wreszcie uznałem, że jestem już dość uspokojony na to, żeby powrócić do domu. Wracając, tłomaczyłem sobie, że sensu niema denerwować się z powodu „głupich kocich oczu", pewny byłem zresztą, że teraz nie będę się kotem zajmował i zabiorę się znowu do pracy, aby nadrobić stracony czas. Gdy wchodziłem w bramę domu, w którym mieszkałem, pewność ta zaczęła mię powoli opuszczać. Gdy wchodziłem po schodach miałem wrażenie, że na każdym schodzie, na każdem piętrze zostaje trochę tej pewności i opanowania. Gdy wreszcie stanąłem przed drzwiami mego pokoju, serce biło mi jak młotem i byłem zdenerwowany niemal do tego stopnia, jak w chwili gdy go opuszczałem. Wszedłem, zapaliłem światło... kot stał na moim stole. Jedną łapkę miał podniesioną jakgdyby zaskoczony i patrzył na mnie. Nie panując nad sobą trzasnąłem drzwiami i rzuciłem się naprzód. Kot uskoczył wtył przestraszony, wylał przytem atrament na skrypta, zamaczał sobie w nim łapę, z wielkim łoskotem zrzucił ze stołu skrypta, wreszcie sam spadł z wielkim miaukiem na ziemię. Momentalnie uciekł w najdalszy kąt pokoju i stanął tam w pozycji obronnej. Nie goniłem go. Musiałem ratować fatalnie zalane atramentem skrypta. Potem usiadłem wyczerpany na krześle i począłem medytować. Nie można było go usunąć poza obręb mego pokoju, bo poprostu nie było gdzie. Czułem, że jeśli to dłużej potrwa, dostanę obłędu. Nie wiem jak długo tak siedziałem bez ruchu nie myśląc właściwie o niczem, nie zdolny do nauki, wiem tylko, że byłem krańcowo wyczerpany i zmęczony i że kot siedział naprzeciw nie patrząc na mnie uważnie. Ocknąłem się z tego dziwnego odrętwienia gdy zegar na wieży w mieście wybił dwunastą. W ciszę nocną wpadały głębokie miarowe uderzenia... postanowiłem się położyć. Zdawało mi się, że będę mógł zasnąć, bo oczy kleiły mi się i głowa ciężyła nieznośnie. Zgasiłem światło. Jednakże nadzieje moje okazały się złudne; z chwilą gdy w pokoju zrobiło się ciemno, zbudził się we mnie znowu uśpiony przez jakiś czas niepokój. Póki siedziałem na krześle przy świetle, a kot siedział naprzeciwko mnie, wzrok jego i obecność działały na mnie raczej hypnotyzująco niż denerwująco. W ciemnościach nie wiedziałem gdzie on jest i to mię denerwowało. Po pewnym czasie oczy moje przyzwyczaiły się do ciemności i mogłem już rozróżnić jego postać, kształt zgęszczonego cienia rysujący się na tle szarej ściany. Po pewnym czasie cień ten oderwał się od ściany i zaczął się posuwać. Czułem, że mój niepokój wzrasta. Wytężyłem teraz oczy w kierunku kota i łowiłem uchem najlżejsze szelesty jakie z jego stron dochodziły. Sylweta jego to rysowała się wyraźniej na tle jaśniejszych płaszczyzn, to ginęła zlewając się z czarnemi konturami mebli. Napięcie moje powiększało się z każdą chwilą — ten ruchomy cień miał w sobie coś niesamowitego.

Nagle błysnęła mi genjalna myśl; zerwałem się z łóżka, co spowodowało gwałtowny skok kota wstecz i zapaliłem światło. Postanowiłem go schwycić. Przyszło mi to nawet dość łatwo, poczem wsadziłem go do koszyka, w którym do mnie został przyniesiony i położyłem się znów do łóżka, pewny, że teraz już zasnę spokojnie. Nie było mi to jednak sądzone. Kot, po pewnym czasie względnie spokojnego siedzenia w koszu zaczął miauczeć. Początkowo było to zwykłe kocie mauczenie, potem jednak zmieniło się w coś w rodzaju płaczu dziecka, wreszcie w jeczące, żałosne zawodzenie. Kto słyszał głos kota rozlegający się w nocnej ciszy, ten wie, że może on doprowadzić człowieka nerwowego do szaleństwa. Dygocąc ze zmęczenia i zdenerwowania wstałem z łóżka i wypuściłem

go z kosza. Zrezygnowałem już ze spania tej nocy.

Jak przetrwałem do rana — sam nie wiem. Była to w każdym razie jedna z najbardziej denerwujących nocy w mem życiu. Wśród głębokiej ciszy przerywanej tylko od czasu do czasu biciem zegarów, przy świetle migającej świeczki siedziałem wyczerpany krańcowo a naprzeciwko mnie siedział wpatrzony we mnie kot i nie zmrużył oka przez całą noc. Rano, gdy tylko zrobiło się jasno wziąłem skrypta i pobiegłem do pobliskiego parku w nadziei, że coś niecoś uda mi się przerobić. Byłem jednak tak zmęczony i śpiący, że zasnąłem na ławce i obudziłem się dopiero wtedy, kiedy jakiś ulicznik przechodząc zagwizdał mi przeraźliwie nad uchem jakąś fałszywą melodję. Z przerażeniem spostrzegłem, że za pół godziny mam egzamin — pobiegłem szybko.

Ten odcinek mego opowiadania jest dla mnie zbyt przykry, abym mógł go tu szerzej rozwijać. Krótko powiem — egzaminu nie zdałem, co gorsze, na pytania zadawane mi przez profesora odpowiadałem tak bezsensownie, że wzbudziłem w nim wprost zdumienie. Byłem w najwyższym stopniu upokorzony i wściekły. Wracając do domu po drodze spotkałem swego kuzyna, który kończył wówczas weterynarję. Pomimo, że nie mówiłem do niego, uparł się odprowadzić mię do domu, twierdząc, że nie pozwoli mi się martwić. Gdy przyszliśmy do domu, kot stał na środku mego pokoju i miał taką minę, jakgdyby oczekiwał mego przyjścia. Na jego widok mój kuzyn zawołał: „Honorata! skądże się u ciebie wzięła? Poznałbym ją doprawdy na końcu świata po tych wytrzeszczonych ślepiach!" porwał kota na ręce i usiadł na krześle głaszcząc go i pieszcząc z wielką sympatją. Honorata — o dziwo, przyjmowała jego karesy bardzo mile, ocierała się o niego kocim zwyczajem, wsuwając mu głowę pod ramię i mrucząc z zadowoleniem. Przyznam się, że przyglądałem się temu z obrzydzeniem. Tymczasem Władek zapragnął się dowiedzieć jaką drogą kot zawędrował do mnie; opowiedziałem mu pokrótce o kłopotach ciotki. Władek zaśmiewał się słuchając mego opowiadania.

— Oczywiście ciotka nie wiedziała, że jestem już w Krakowie, w przeciwnym razie kot byłby powędrował do mnie, jak to zwykle w takich wypadkach bywa — mnie to przykrości nie sprawia.

— A czy... a czy ciebie to nie denerwuje, gdy kot tak się ciągle patrzy?

Władek zaczął się śmiać jak szalony.

Więc i ciebie ciotka tak wykiwała jak mnie za pierwszym razem? — Tylko, że ja prędko się spostrzegłem, bo to moja specjalność, a ty prawdopodobnie do tej chwili jesteś przeświadczony... tu kuzyn mój przerwał zaśmiewając się na całe gardło. Zaczęło mię to irytować. „O co chodzi? co spostrzegłeś — powiedzże nareszcie!" — „No, że kot jest ślepy!"

Zaniemówiłem! Władek przysunął się do mnie z krzesłem i mówił dalej: zaraz ci wszystko powiem: otóż ciotka zobaczyła kiedyś, jak dzieci stróża w jej domu znęcały się nad kotem. Wzruszyła się tem, zabrała kota do domu, odkarmiła. Kot przywiązał się do niej, nie stracił jednak wstrętu do ludzi i dzikości, wyłączył tylko z niego dwie osoby — ją i mnie. Ilekroć ma do czynienia z kimś obcym staje się ogromnie ostrożny — stara się zawsze być zwrócony do niego przodem, aby uniknąć zasadzki. Jak większa część angorów jest ślepy, trudno to jednak zauważyć, gdyż oczy ma otwarte i czyste. Gdy czegoś się boi, wytęża w tym kierunku słuch, węch i czucie i mimowoli w tę samą stronę kieruje i oczy choć nic zobaczyć nie zdoła i to właśnie robi wrażenie, jakoby kot się uważnie przyglądał. Wytłumaczenie było zupełnie wystarczające. Nie mogłem mieć pretensji do biednego kota . . .

H. Ł.

TREŚĆ Nru 7:

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata roczna = 8 zł.

Cena numeru pojedynczego 80 gr.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Konto P. K. O. Nr. 404.930.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.

[illegible]

[illegible] Wtedy zaczął się [illegible] jak [illegible]